Nr. 14. Lwów, 20. Listopada 1893. Rok III.

Wychodzi
5. i 20. każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi
we Lwowie:
rocznie . . 7 zł. 20 ct.
kwartalnie 1 „ 80 „
miesięcznie — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopisów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

DWUTYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY, ILUSTROWANY.

Prenumerata na prowincyi
i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi:
rocznie 8 zł. — kwartalnie 2 zł.
W Niemczech: rocznie 16 marek półrocznie 8 m. kwartalnie 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 fr. — kwartalnie 5 fr.

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya »Myśli« po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następny.

Redakcya i Administracya znajdują się we Lwowie przy placu **Dąbrowskiego** (Chorążczyzny) l. 1, gdzie też uprasza się o nadsyłanie wszelkich przekazów i pism. — Prenumeratę przyjmują również wszystkie księgarnie. — W Krakowie: księgarnie Gebetnera i Spółki, Spółki wydawniczej, Zwolińskiego i Spółki i J. A. Krzyżanowskiego. W Poznaniu: księgarnia Cybulskiego.

BILANS SPOŁECZNY.

Myśl nasza dobiega do końca roku, roku niezwykłego w dziejach całej Polski, a Galicyi w szczególności. Był to rok smutków narodowych, ciężkich doświadczeń, walk wewnętrznych, a jednak nie da się zaprzeczyć, że ponad ciosami, jakie nam życie nasze publiczne przynosi, świta brzask nowego, pełnego świeżości i siły poranku. Pod wpływem ożywczych tchnień jego budzą się najpracowitsze żywioły, niosąc energię swoją i dobrą wolę na posługi publiczne. Nie nam jednym ów brzask poranny zwiastuje nowy dzień, nowe życie. Ludzkość miewa także noce swoje — długie, ciągnące się nieraz wieki całe; słychać tylko świst skrzydeł przelatujących nietoperzy, bo dla nich jedynie ciemność jest rozkoszą. Ale noc się kończy. Nad ludzkością nowy dzień świta, a światło ogarnie niezadługo drzemiące, upokorzone, wychowane w sztucznej niemocy społeczeństwa. Świeże prądy ożywczych myśli wytworzyć muszą nowe formy życia, dać mu inne podstawy rozwoju.

W jaki sposób to wszystko się ukształtuje?

Na to pytanie przyszłość tylko dać może odpowiedź.

W naszem życiu, płynącem bardzo wązkiem i płytkiem korytem, rok ubiegły pozostawił garść smutków, wspomnień i nadziei, odsłonił kilka niezgojonych ran, ale też przyniósł bogate żniwo wiary i nadziei na lepszą przyszłość.

W lecie pogrzebaliśmy Lenartowicza, w jesieni — Matejkę. Pierwszy, jak skowronek na chłopskiej niwie na wiosnę, zadzwonił nam pobudkę do pracy na zaniedbanej roli; może brakło jego piosenkom większej siły, ale czuć było w nich bicie gorącego i kochającego serca i widać jasny promyczek myśli, wiodącej włościaństwo nasze śród huku dział racławickich do walki o prawa swoje i Ojczyzny. Matejko pokazał i przypomniał najpiękniejsze chwile naszej potęgi duchowej i politycznej, podniósł skalę naszego uczucia narodo-



Jan Matejko.

wego, rozbudził cześć dla ideałów i niezałatwioną sprawę pokrzywdzonego narodu postawił w obrazach, jak wyrzut sumienia, przed oczy polityków i mężów stanu całego świata.

Tak więc pogrzebaliśmy ludzi, lecz zostały ich myśli i czyny, została ich praca, która krzepi i umacnia naszego ducha.

W wirze naszego życia społecznego wypłynęło na wierzch kilka spraw pierwszorzędnego znaczenia. Są one po części wytworem naszych anormalnych stosunków, w części zaś wynikły z prądów i ducha czasu, z życia konstytucyjnego Europy — są to kwestye: żydowska, rusińska i socyalizm. Jedne z nich zaogniły się zabarwieniem indywidualizmu narodowego, drugie, jak socyalizm, zeszły na grunt kosmopolityczny albo klasowy. Nie ulega wątpliwości, że trzymanie się sztandaru idei narodowościowej jest wielką dźwignią do rozbudzenia rasowej i narodowej samowiedzy, ale sam fakt rozbudzenia tej samowiedzy może się stać zgubą zamiast zbawieniem. Jeżeli naród, czy pewien odłam jego nie wytworzy stałych podstaw moralnych i politycznych dla prawidłowego rozwoju sił duchowych swego społeczeństwa, rozbudzona samowiedza rasowa i narodowa stanie się gorączką, łamiącą najlepsze usiłowania, trawiącą najlepsze siły, zużywającą się w walkach polemicznych, zagrzewającą innych do walk drobnostkowych, bezużytecznych, drażniących. Usunie to wszelką możność rozumnej, spokojnej pracy społecznej. Żydzi nie stworzą i nie mogą stworzyć w Galicyi państwa żydowskiego, Rusini nie stworzą w warunkach istniejących odrębnej i niepodległej Rusi, my nie w stanie jesteśmy wyrzucić żydów, jak Rossya lub Rumunia, jakoteż przeszkodzić samodzielnemu rozwojowi indywidualizmu narodowego Rusinów. Nie możemy podzielić kraju na trzy części, jak kawał papieru. Tylko łączność w sprawie ogólnych interesów wszystkich łamów społecznych naszego kraju, tylko rozumna, spokojna i poważna polityka wewnętrzna, tylko zgodna akcya w sprawach zasadniczych, pozbawiona zachcianek nieokreślonych, dać nam może siłę i zabezpieczyć przyszłość. Wszelkie waśnie wewnętrzne torowały zawsze drogę do zwycięztwa — innym.

Udekorowani honorami dostojnicy, spoczywający na laurach uczeni, utuczeni na chlebie *bene merentium* powagi, różnych filozofii doktorowie, o których niegdyś mawiano we Lwowie: *doctor bullatus, asinus coronatus* — wszystko to zaniepokojone socyalizmem. A jednak wyrokiem sądowym nie wykreślimy go z życia, ani Europy, ani naszego. Po za hałaśliwem zachowaniem się psychopatów, opanowanych manią socyalizmu, lub własnej wielkości, mało rozumiejących czem jest socyalizm, po za garstką ćwiczących się w wymowie ludzi ambitnych, wyglądają wszędzie miliony, niezadowolone z istniejących praw — państwowych stosunków. Socyalizm jest protestem tych milczących milionów, jest sformułowaniem ich potrzeb, dążeń, praw, i dlatego każde żyjące i dążące do lepszej przyszłości społeczeństwo, obowiązane jest przysłuchiwać się tym głosom, a słuszne żądania spełniać; z życiem społecznem i narodowem, z duchem czasu trzeba się liczyć. Kto nie postępuje, nie idzie naprzód, ten nie żyje. Kwestyą socyalną musimy się zajmować poważnie, ale możemy z czystem sumieniem nie zajmować się aspirantami do hałaśliwego, brukowego socyalizmu.

Pomimo klęsk powszechnych, pomimo rozterek wewnętrznych, rok ubiegający możemy zapisać jako jeden z najpomyślniejszych dla przyszłości.

Stuletnia rocznica klęsk narodowych, wspomnienia prac podjętych przez Sejm czteroletni, zastanawianie się nad takiemi objawami jak Targowica, Sejm grodzieński, walka o niepodległość, podjęta przez Kościuszkę, upadek nasz państwowy, wreszcie z najnowszej chwili pięćdziesięcioletni jubileusz K. Ujejskiego — wszystko to skupiło myśl na wielkich wypadkach naszego życia, podniosło ducha narodowego, zmusiło do sumiennej analizy pracy społecznej i do związania jej z całością narodową, do szukania dla życia tej całości trwalszych podstaw.

Autononizm nasz i konstytucyonalizm austryacki, pozostawiający wiele do życzenia, umożebniły jednak, a nawet ułatwiły nam pracę społeczną. Zawiązanie się stronnictwa chłopskiego, zarówno na Mazurach jak i na Rusi, można uważać za jedną z najdonioślejszych spraw naszego stulecia, za jedną z najsilniejszych dźwigni do rozbudzenia ducha obywatelskiego w ciemnej i apatycznej dotychczas sferze włościaństwa. Tu nie chodzi o walkę jednej warstwy narodowej z drugą, jednej klasy z drugą, lecz o uświadomienie obywatelskie milionów, reprezentujących dotychczas tylko siłę fizyczną. Rozwój szkolnictwa ludowego, rozszerzenie praw wyborczych, które prędzej lub później przyjść musi, uregulowanie stosunku obszarów dworskich i gmin — wszystko to nada pracy społecznej charakter spokojny i szerszy — dążenia przez cząstkę do całości.

Taki jest nasz bilans polityczno-społeczny za rok ubiegający; początek roku przyszłego — pamiętna w dziejach naszych stuletnia rocznica 1794-go roku, będzie niejako zobrazowaniem tego bilansu. Powszechna Wystawa krajowa, która się we Lwowie odbędzie, umożebni nam przegląd pracy i rezultatów, zdobytych na polu ekonomicznem, da niejedną wskazówkę postępowania na przyszłość. Skupienie wszystkich sił umysłowych polskich pod godłami Wystawy, rzuci nie w jednym kierunku światło na naszą pracę społeczną i narodową.

Z takiemi nadziejami rozpoczniemy rok nowy — oby on stał się dla nas pierwszym rokiem długo oczekiwanej rzeczywistości.

JEGO TESTAMENT.

»Ubogi jestem — i dziecinie mojej,
Krom uczciwego rodziny nazwiska,
Żadnego w spadku nie zostawię wiana...

Długo się pamięć po mnie nie ostoi
I zgaśnie ognik, co chwilowo błyska,
I piosnka moja przebrzmi zapomniana«...

*

»Ubogi jestem — bom nie bijał czołem,
I u złotego nie skomlił łańcucha,
Chwast zaś pomagał plewić i kąkole.

Toż nie zostawiam nic, jak nic nie wziąłem.
Lecz w Imię Ojca — i Syna — i Ducha,
Ostatnią druhom przekazuję wolę.«

*

»Zagrzmisz Ty kiedyś, Mocny, Sprawiedliwy...
I Zygmuntowy spiż się rozkołysze,
Pobudki hukiem ludu budząc smętarz;

Swobody majem rozzielenisz niwy
I hymn milionów głuchą przerwie ciszę,
Gdy Niewolnicą wstrząśniesz — i rozpętasz«...

*

»Wiosenne słodko zadzwonią skowronki
I pszczółek roje, po błoni kwiecistej,
Wesela chorał zabrzęczą radosny;

Zaszumią bory — i zapachną łąki —
Lecz już ni oko, ni ucho lutnisty
Cudów tej Bożej nie zaczerpnie wiosny«...

*

»Nad krzyża próchnem woni przemkną fale,
Uniesień chóry i zachwyty tłumne;
Noc cicha zwiśnie na gwieździstym stropie.

Przyjdźcie wy nocką. Niech brzękną ryskale...
Ziemię rozgrzebcie — dobądźcie z niej trumnę —
I przy mogilnym złóżcie ją rozkopie.«

*

»Odłupcie wieko .. Deska gdy odskoczy,
Wolnej mnie Polski ogarnie powietrze
I wiatr od Wisły wionie, od dalekiej...

Spojrzą na chwilę, choć przywarte oczy,
Kędy krwi ślady coraz bledsze... bledsze...
A potem — znów mnie zakopcie, na wieki.«

AURELI URBAŃSKI.

MATEJKO.

...Zdumiewające zjawiska spostrzega wzrok badacza na kartach dziejów, chociaż wszystko ma tam swe naturalne uzasadnienie, jest jednolitym łańcuchem przyczyn, a skutków.

Kto przed laty kilkudziesięciu słyszał o sztuce polskiej?

Byli, prawda, i u nas wówczas ludzie, którym pędzel, czy dłuto służyły do wyrażania myśli i uczuć. Ale klątwa mierności zawisła nad ich pracami. Ich fantazya miała podobieństwo do matki, wydającej na świat nieżywe dzieci, a ich umiejętność artystyczna nie posiadła siły, ku tchnieniu życia w martwy płód potrzebnej.

Aż oto całkiem niespodziewanie zjawia się człowiek zupełnie innego autoramentu. Niewyczerpana twórczość duchowa poślubiła w nim talent niezwykły, a praca pełna zaparcia się i poświęcenia związkowi temu kapłańskie dała błogosławieństwo.

Dziwny, zaprawdę, człowiek — prawie nieczłowiek, tak uduchowiony, tak do głębi przejęty szczytną swą misyą.

I jeśli zechcemy zrozumieć, jakiemi drogami dostał się Matejko na wyżyny swego stanowiska, to w owem zupełnem oddaniu się sztuce i jej celom, mamy rozwiązanie zagadki.

Bo nie daremnie sztukę nazwano »zazdrośną kochanką«; daje ona rozkosze niezmierne, hojnie wynagradza niemi swego miłośnika, w zamian jednak żąda, aby jej i tylko jej jednej poświęcił wszystkie swe myśli, uczucia, troski, starania... Wobec chwiejnych — obojętna, wobec niestałych — zdradliwa, wobec odstępców — nienawistna; dobiera sobie sztuka oblubieńców z pośród ludzi o wytrwałości żelaznej, o myśli orlej, o ewangielicznej abnegacyi.

*

...Sztuka ma mnogie w swej świątnicy ołtarze.

Tu światło płonie przed jej obrazem jako symbolem piękna, — ówdzie wznoszą się modły do niej w roli krzewicielki i opie-

kunki szlachetnych popędów duszy; gdzieindziej zbiera ona hołdy jako zmysłowe objawienie najwyższej mądrości...

Przed każdym z tych ołtarzy składał Matejko swe »homagium«.

Ale Polakiem był, choć z pobratymczej tylko, czeskiej wywiódł się rodziny. A jak wszystko w duszy wielkiego mistrza do nadludzkiej rozwija się potęgi, — tak i ta polskość w bezmierną urosła u Matejki adoracyę.

Ołtarz sztuki, jako strażniczki idei narodowej, więził go przed wszystkimi innymi.

Tam on najwonniejsze uczuć kwiaty, tam najcenniejsze zdobycze swych myśli składał. Ukochał przeszłość narodową, pełną blasków wspaniałych, bolał nad teraźniejszością ciężką i bezbarwną, wierzył w przyszłość, mającą to wszystko wskrzesić, z czem Polska bohaterska weszła ongi na arenę dziejową.

A była w tej duszy obok wielkiej miłości Ojczyzny, wielka także duma. Nienawidził wrogów i gardził nimi; nienawidził ich za zbrodnie popełnione bezkarnie na Polsce, gardził, jako niewdzięcznikami, — bo uderzyli w pierś, z której nieraz płynęło dla nich mleko dobrodziejstw. Obrazy Matejki dwoista nacechowała idea; obok glorytikacyi Ojczyzny, dostawali w nich policzek po policzku wszyscy, co przyłożyli rękę do zburzenia Polski.

Jego »Unia lubelska« ukazała światu, że nie gwałt, jeno miłość wzniosła Ojczyznę naszą na wyżyny potęgi; ale »Haracz pruski« i »Grunwald« zdeptał butę teutońską, ale »Sobieski« przypomniał Wiedniowi, czem byłby dzisiaj, gdyby nie polska ofiarność; ale »Rejtan« zwrócił się kopnięciem przeciw zaprzedańcom, przenoszącym złote obroże nad walkę o wolność.

A ponad wszystkiem wznosi się niby cudowna wizya »Dziewica Orleańska«. Nie Joanna D'Arc to, jeno Polska, we wszystkiem panująca, co wyszło z pod pędzla Matejki; — Polska przyszłości, wznawiająca przymierze z Bogiem i królem, Polska zwycięska natchnieniem swojem i siłą woli wyższej w świecie brutalnych potworów.

*

Mistrz pozostawił dzieło nieskończone: »Śluby Jana Kaźmirza«.

Dwa wieki upłynęło od chwili, gdy w Katedrze lwowskiej, król udręczony ciężkiemi doświadczeniami, widząc tron swój chwiejący się pod naporem zewnętrznych i wewnętrznych wrogów, powierzył koronę polską rękom Matki Bożej i pamiętne złożył śluby.

Tę chwilę zamierzał Matejko przenieść na płótno.

»Śluby« jednak pozostały nie wykończone na płótnie, jak niespełnionemi są dotąd w rzeczywistości...

St. Rossowski.

ZE WSPOMNIEŃ
o
TEOFILU LENARTOWICZU.

I.

Od wielu już lat stosunki rodaków z poetą oddalonym od kraju tak znaczną przestrzenią, luźne tylko i dorywcze być mogły. Ktoś do Florencyi zabiegł i przywiózł stamtąd wieść jaką; ktoś listy od niego miał i po słówku bliskim rozdzielił; i takeśmy go tem obcowaniem przygodnem trzymali między sobą żywym.

Dla większości wszakże, jakby już nie istniał. Dla większości, pieśni Lirnika były zawsze jeszcze rzeczywistością i pełną czaru prawdą; ale sam pieśniarz stawał się już mitem. A co się dziwić?

Rozlej morze i postaw góry pomiędzy sobą i rodzoną bracią, a obaczysz, jak mgłą zajdziesz i jak spełzniesz z barwy.

Bo nie była to obojętność, ani niedocena; to było — oddalenie.

Poeta przypominał się rzadko. Dwa, trzy razy do roku spotykałeś tu, to tam, wiersz silnego stempla, mocny czuciem, piękny formą, i taki jakiś odmienny od dzisiejszych, jakby go czytał z owych dawnych psałterzów duszy, co to były razem pieśnią i modlitwą. Dziś się już takich nie tworzy.

Tedy jeden chwalił, drugi i łzę otarł; ale większość, prawie, że nie rozumiała.

Tak jest. Zaczęto Lenartowicza nie rozumieć u nas. Struny nawiązane między duchem pieśniarza, a nami, rozciągnęły się nadmiernie, zwątlały, i od strony serc naszych odrywać się i pękać zaczęły. I znowu nie była to ani niechęć, ani niedocena, tylko oddalenie.

»Lirenkę«, »Zachwycenie«, »Błogosławioną« i inne pokrewne znaliśmy i kochali zawsze. Te żyły z nami; ale z późniejszych pieśni tylko niektóre weszły nam w krew i w kość. Inne przewiały nad nami skrzydłem szumiącem wysoko, zbyt wysoko może, jak na nasze w ziemi utkwione źrenice.

A i drogi też nasze odbiegły od siebie. Jego droga poszła wprost, jak strzelił, od tego kopca, który mu na rozstaju losów usypało życie; nasza, lubo w ogólnym kierunku równoległa do niej, kroczyła przecież tak, owak, szukając sobie przestrzeni, omijając ciernie, akomodując się do stóp, które deptały po niej.

Jak żył w tem oddaleniu, co czuł, co myślał, z jaką dolą walczył, o to nie pytał nikt, prócz najbliższych, którychby na palcach policzył. Echo i żalów i radości na zbyt wielkiej przestrzeni milkło, nie donosząc głosu.

Był tedy poeta dla nas jak ów cień elizejski, na cichych obłąkany polach, o którym wiara jest, że choć istnieje, to przecież dla smutków naszych i radości naszych zgoła niedotkliwy.

Nagle przychodził list, papier byle jak złożony, bardzo drobnem zapisany pismem, i pokazywał ci duchowe oblicze oddalonego tak wyraźnie, iż oczy dostrzegały na niem ślady niezbytych tęsknot i gorzkiego chleba. Wtedy biegłeś, zaczepiałeś tego, owego, temu, owemu chciałeś rzucić słowo:

— Lenartowicz pisał!

— A! I cóż tam nowego?

Co nowego?... Ależ właśnie cała paląca gorycz tego listu szła z rzeczy starych, a i z tego także, iż nic nowego nie mogło wejść do duszy, po wręby pełnej tego co było!

Co nowego? Ale co może być nowego sercu, które jak igła magnesowa na jednym punkcie zatrzymana stoi! I czy z sercem takiem może być mowa o czem innem, jak o tem, co jest w niem wciąż przytomne i nieodmienione?

Ale trafiałeś i na takich, którzy, usłyszawszy, że pisał, z całą dobrą wiarą pytali:

— To on jeszcze żyje?

Mnie samej zdarzyło się pytanie takie po wielekroć słyszeć. Najmłodsi zwłaszcza zadawali je z przedziwnym akcentem zdumienia.

Tak prędko jadą... dalecy!

Dziesięć lat minęło, jak z rąk Adama Pługa — Lenartowicz nie znał wówczas mojego adresu — otrzymałam pierwszy list taki, ową charakterystyczną ćwiartkę, na której rozmach pióra niezawsze pozwalał skończyć zaczęty wyraz, a linie pisma szły to w dół, to w górę, rzadko tylko i przy obojętniejszych materyach, trzymając się prostego szlaku. Ten pierwszy list nosił na sobie wszystkie naczelne rysy duchowego oblicza poety: ogromną bezpośredniość psychiczną, genialną zdolność łączenia się z duszą ludzką, przenikania atmosfery pośredniej, zdolność komunii, że tak powiem, pod obiema postaciami: myśli i uczucia, tudzież nieporównaną rzewność, prostotę, i idącą z niemi w parze ludowość, w takiem głębokiem znaczeniu, o jakiej my, rozprawiający na zimno i na gorąco, retorzy, nawet pojęcia nie mamy.

Co my! Ludowości takiej, jaka przenikała na wskroś całą istotę Lenartowicza, nie miał ani Syrokomla, ani Bohdan, ani żaden z poetów naszych.

Bo, każdy z poetów naszych, na ludową nutę gęśl strojąc, wychodził z siebie, ze swojej sfery, z głównego ogniska myśli i uczuć, bądź to uniesiony, porwany jakimś momentem psychicznym, jak Syrokomla, bądź gwoli zdybanemu z tej strony pięknu, jak Bohdan.

Lenartowicz przeciwnie. Lenartowicz, gdy pieśń ludową śpiewał, wchodził właśnie w siebie, w przyrodzoną sferę swych wzruszeń. Jego ludowość nie była nigdy chwilowym, od zewnętrznych pobudzeń zależnym nastrojem, ale była samą treścią jego natchnień, była jego zwykłym prądem twórczym, była właściwą muzyką jego.

Inszym pieśni ich ludowe grała lutnia; jemu — dusza.

Z biegiem czasu listów tych zebrało się sporo; lecz ani jeden nie zaprzeczył wrażeniu, jakie mi zostawił pierwszy.

A dziś, kiedy tak patrzę na nie, równo mi na którym oczy zatrzymam, lub który do ręki wezmę. W każdym bije to samo rzewne, proste serce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Marya Konopnicka.

SEN PANA MARCINA.

Pan Marcin siódmy krzyżyk dźwigał, a może i więcej. Wychudła, blada, zmarszczkami pokiereszowana twarz jego była najlepszem świadectwem, że życie przeszło mu ciężko, po grudzie. Pomiędzy resztkami siwych pukłów włosów, okalających skronie i czoło, osiadło zamyślenie, smutek, tęsknota.

Spotkałem go niedawno. Szedł drobnym, przyspieszonym krokiem, suwając nogami po ślizkim chodniku, podniósłszy do góry kołnierz zrudniałego, wytartego futerka. Chłodny wiatr późnej jesieni, świszcząc, okrążał go do koła, szarpał poły futerka i lodowatym swoim uściskiem otaczał starego. Widziałem zdaleka jak się Marcin bronił, przytrzymując poły i przytulając je do ciała.

Dogoniłem go z tyłu i powitałem.

— Dobry wieczór panu...

Na dźwięk mego głosu starowina odwrócił się.

— A — to pan — dobry wieczór — dobry wieczór... — rzekł z akcentem uradowania w głosie, a jednocześnie prowadził dalej walkę z wiatrem: to połę przytrzymywał, to ręce do rękawów chował.

— Zimno... — wtrąciłem.

— O, zimno...

Nagle zatrzymał się.

— Ale — dolazłem już do chaty... Zajdź pan do mnie.

— I owszem.

Po chwilce byliśmy już w izbie.

— Rad jestem — rzekł, odwijając kołnierz od futra — że mogę z kim pogawędzić... koniec się zbliża — dodał z akcentem — życie już cięży.

Mieszkanie jego składało się z ubożuchnej izdebki. Łóżko przy jednej ścianie, stolik przy drugiej, w kącie paka, dnem odwrócona, na której stały szklanki, maszynka benzynowa, czajnik i kilka drobiazgów starokawalerskiego gospodarstwa — oto było całe umeblowanie.

Zmrok już zapadał. Pan Marcin spuścił błękitną roletę, na której był namalowany rycerz, unoszący pannę, zapalił lampę, maszynkę i herbatę przyrządził.

Znaliśmy się dawno, ale nigdy mi stary o sobie nie opowiadał. Tego wieczora stał się rozmownym.

— Widzisz, bracie, sam jestem jak palec — rzekł, okiem powiódłszy po pustej, smutnej, ubogiej izdebce. Kiedym był młody, otoczony żoną, dziećmi, rodziną, zdawało mi się, że gdybym sam został, umarłbym ze smutku... A ot, widzisz pan, wszystkich straciłem — i żyję...

Głos jego tak smutnie, tak głucho dźwięczał, że sprawiał wrażenie wody, kotłującej się w niewidzialnej głębinie. Zdawało mi się, że słyszę odbijanie się echa, rozlegającego się w innym świecie — wspomnień, pamiątek...

Po chwili milczenia, pan Marcin zwrócił się do mnie.

— Pan wierzysz w sny? — zapytał.

Nie należałem do tych, którzy wierzą, ale poznawszy z akcentu pana Marcina, że on do wierzących należy, nie chciałem mu przeczyć.

— Sen mara... — zacząłem.

— No, no, no...— przerwał mi stary — chcesz powiedzieć, że sen — to ducha ludzkiego brednie.

— Jak jaki sen...

— Jeżeli tak — to zgoda. Są sny obojętne... Ot coś przesunęło się po wierzchu duszy ludzkiej — i znikło. Czasem jednak sen wskrzesza przed nami osoby drogie, dawno zmarłe i żyć bodaj chwilkę pośród nich pozwala, — wtedy staje się rozkoszą ducha.

Nie mogłem zrozumieć o co staremu chodzi i o jakich snach mówi. Pan Marcin odgadł moją niepewność.

— Ty pewnie w życie po śmierci nie wierzysz? — zagadnął mię.

Znalazłem się w dziwnem położeniu. Pociągnąłem parę haustów herbaty, ażeby rozmowę zawiesić, lecz czułem, że spoczywały na mnie pytające spojrzenia pana Marcina.

— Tak? Prawda? — nalegał.

Czułem się w obowiązku coś odpowiedzieć.

— Nauka... — zacząłem górnie.

— Aha! — przerwał mi stary – ty z tego tonu! A ja wierzę — rzekł stanowczo — bo jeżeli żadna siła w naturze nie ginie, dla czego ma ginąć duch ludzki? On żyć musi i musi być nieśmiertelnym, a jaką przybiera postać, jakie formy — cóż mię to obchodzi! Świat niewidzialny i niepoznany naszemi zmysłami, nie przestaje być światem i jest on tem dla nas, czem my jesteśmy dla świata mikroorganizmów. Czy one mogą stworzyć sobie pojęcie o kształtach człowieka, o jego życiu duchowem? Leży to po za granicą naszych zmysłów i naszej wiedzy.

— Ale mikroskop pozwolił nam sięgnąć do kończyn świata organicznego...

Pan Marcin rękę na mojem ramieniu położył, w oczy mi spojrzał i rzekł dobitnie:

— Tak, do kończyn, zakreślonych mikroskopem.

— Cóż to ma do tego? — zawołałem gorączkowo — Mikroskop pozwala nam sprawdzić fakty konkretne, a życie przyszłe opiera się nie na faktach, lecz na wierze.

Pan Marcin zamyślił się.

— Widzisz, nie wynaleźliśmy jeszcze instrumentu do sprawadzania zjawisk nieznanych — zauważył z pewną ironią. — Nikt nie może nam pokazać niewidzialnego świata, ale pokazuje go nam — sen, czy odpoczynek nerwów, czy działalność mózgowa, o których tyle wiemy, co mikroorganizmy o nas. Są ludzie, którzy we śnie widzą bale, zabawy, jednem słowem: świat teraźniejszy; inni widują tych, z którymi życie ziemskie im przeszło. Ja niewiem czem jest taki sen — czy pragnieniem serca, czy złudzeniem, twierdzę tylko, że istnieją światy nieznane ludziom...

Zamyślił się chwilkę jakby coś sobie przypominał.

— Otóż powiem ci mój kochany, że do Wigilii daleko jeszcze — a moja już minęła...

Nie mogłem zrozumieć o co mu chodzi.

— A toż jakim sposobem? — spytałem.

— Minęła... — powtórzył pan Marcin z akcentem — wczoraj była...

Spojrzałem na niego.

Miał wyraz twarzy człowieka, zagłębionego w zamyśleniu, lub wpatrzonego w jakiś punkt daleki.

— Śniła mi się wieś moja rodzinna...— zaczął stłumionym akcentem, jak człowiek, który z głębiny ducha wydobywa wspomnienia. — Ot, widzisz, śniło się... Może dla tego, że ja w ubóstwie żyję, a tam obca ręka plewy sieje na tej ziemi, której każda garść jest dla mnie świętą. Dla czego nie śniła się taką jak jest, lecz taką jak była? Albo ja wiem... Ojciec nasz umarł nagle i tylko sąsiada opiekunem naznaczył. Był to faryzeusz, który się publicznie modlił, spowiadał, głośno dawał jałmużnę, ażeby imię jego drukowano w gazecie, a czyny opowiadano w przysionku kościoła, cicho zaś obdzierał drobne dzieci przyjaciela, marnował ich majątek i z zaciętością zbrodniarza zohydzał własne ofiary, ażeby się przed ludźmi pokazać czystym.

Przeszedł tedy powoli majątek ojczysty w jego ręce, a nas los pochwycił w swe szpony i za chlebem przerzucał z jednego miejsca na drugie. On tymczasem, otoczony dobrą sławą u ludzi, kupił niszę w kościele i za pieniądze, zrabowane dzieciom, sam sobie postawił pomnik, na którym kazał jeszcze za życia wyryć, że żył cnotliwie i umarł po chrześciańsku.

Lecz nie o niego mi idzie.

Śniło mi się, że w tym domu, gdzie lata moje pacholęce przeszły, znowu byłem — lecz już mężczyzną dojrzałym...

Tu oczy błysnęły mu i ożywiły się.

— Widzę pokój... a przez całą jego długość stół stoi obrusem nakryty... w pokoju cisza panuje uroczysta, smutna... — Snop w kącie, siano pod obrusem... stół obsiedli dokoła oni... Wiesz kto to był? Wszyscy moi, drodzy, serdeczni, ci, których przez długie życie po kolei gubiłem... rodzice, bracia, siostry, żona, dzieci... Siedzieli w takim porządku jak umierali, w takiem ubraniu, w jakiem ich grzebałem...

Róg stołu zajmował ojciec, matka obok niego na prawo... dalej inni... a w końcu jedno miejsce próżne...

Wszyscy już siedzieli przy stole, lecz wazy nie podawano jeszcze — czekano na mnie. Gdy wszedłem, ojciec odwrócił się, powstał i zbliżył się ku mnie na powitanie, z twarzą uroczystą i smutną.

— Spóźniłeś się Marcinie — rzekł — czekaliśmy właśnie na ciebie.

Schyliłem się ku niemu i w rękę pocałowałem. Opanowało mię — ciągnął dalej — słodkie wzruszenie. Nie śmiałem oczu podnieść na siedzących przy stole, czując wszystkie ich spojrzenia na sobie.

— Spóźniłem się... spóźniłem się... wybełkotałem nieśmiało.

Nagle pan Marcin zamilczał, sposępniał, łzy błysnęły mu w oczach.

— Kto wie — zakończył smutnie — może oni mię do siebie wołają? Może... Czuję, że spóźniłem się... zbyt długo tęsknię do nich...

— Et, dziwactwa romantyczne! — pomyślałem sobie — »gmin rozumowi bluźni...«

Rozstałem się z panem Marcinem. Jakież było moje zdziwienie, gdy w kilka tygodni potem dowiedziałem się, że umarł — w samą Wigilię...

Albo ja wiem, co o tem wszystkiem myśleć.

Fr. Rawita.

POCZĄTKI POLSKIEGO MESYANIZMU

(Ciąg dalszy).

Rozbierając historyę polską z końca XVIII. i początku XIX. wieku, znajdujemy w niej pewną fantastyczność i zagadkowość. Obok jasnych i uwierzytelnionych historycznie faktów i osobistości napotykamy prawie wszędzie na cudowne jakieś zdarzenia, na zagadkowe postacie, o których historya nic nam prawie powiedzieć nie może, a które w tradycyi ludu przybrały kształty nadziemskie, przyoblekające się z czasem w coraz mglistszą tajemniczość. Jeżeli porównamy podania polskie z równoczesnemi niemieckiemi lub francuskiemi, znajdziemy pomiędzy niemi wielką różnicę, która nie może być przypadkową, a nie da się wytłómaczyć z samych tylko odmiennych stosunków polityczno- i społeczno-narodowych. Ogólna treść ich ta sama co u nas; ale tam wykonuje się wszystko za pomocą nadzwyczajnej siły, odwagi lub dowcipu, u nas zaś widać często wpływ nadziemskiej mocy, bezpośredni współudział nieba w ziemskich sprawach. Tamte osnute są na tle racyonalizmu, nasze tchną supranaturalizmem, a owa woń legendy, która wieje od postaci księdza Marka, Wernyhory i innych, wskazuje na to, że nie samo tylko zamięszanie polityczne i wypływające z niego wzburzenie umysłów spowodowało zjawienie się tajemniczych osobistości i faktów. Duch średnich wieków z całem bogactwem fantastycznej swej wyobraźni, z cudownemi swemi legendami i religijnym mistycyzmem unosi się ponad historyą upadku Polski i nieszczęśliwych walk o jej wyzwolenie i dowodzi, jak silnie kwitła w polskim narodzie idea średniowieczna, odnosząca wszystko do świata nadnaturalnego, zbudowana na zasadzie, że świat ziemski stoi w nieprzerwanym związku ze światem nadziemskim, który na losy pojedynczych ludzi i całych narodów bezpośrednio oddziaływa.

Uzyskawszy tę pewność, nie możemy być w wątpieniu co do pochodzenia narodowego naszego mesyanizmu. Jeżeli w czasie, kiedy istniały u nas jeszcze zapomniane w reszcie Europy poglądy supranaturalistyczne, zjawiła się u nas i rozpowszechniła myśl mistyczna, przypominająca żywo średnie wieki, stojąca w tym samym stosunku do podań ludowych, opartych na supranaturaliźmie, jak teorya do pojedyńczych przypadków, wtenczas musiała ona wypłynąć z tego samego źródła co one, być zastosowaniem supranaturalistycznych pojęć do polskiego narodu w rozpaczliwem jego położeniu.

Okoliczność ta tłómaczy nam, dlaczego mesyanizm zdołał podbić sobie w krótkim czasie całe społeczeństwo, rozlawszy a się szeroką falą po narodzie, nie znalazł nigdzie oporu i nie doznał żadnej krytyki, ale nie wyjaśnia jeszcze wszystkiego. Nie widzimy mianowicie, skąd myśl wyrosła na podstawie kosmopolitycznego supranaturalizmu, przyjęła u nas charakter polityczno-narodowy, podczas, gdy równoczesna doktryna mesyaniczna Schellinga pozostała filozoficzną abstrakcyą bez zaostrzenia polityczno-niemieckiego. Możnaby przypisać to zjawisko wpływowi wyjątkowo nieszczęśliwego położenia Polski, lecz tłómaczenie takie okazuje się czczym tylko frazesem, jeżeli pomyślimy, że smutne stosunki narodowe, rozpatrywane przez pryzmat supranaturalizmu, mogły tylko naprowadzić na tę myśl, że Bóg nie pozwoli zginąć uciśnionemu narodowi, ale nie uprawniały do przypuszczenia, że właśnie ten naród zdeptany i wzgardzony był wybrany dla przeprowadzenia wielkich zamiarów Boskich, przeznaczony na mesyasza, który miał przywrócić wolność i szczęście całej Europie.

Że myśl ta wystąpiła na jaw właśnie w pierwszej połowie tego stulecia, to bezwarunkowo skutkiem chwilowych stosunków; ale że wogóle powstała, a powstawszy, mogła stać się popularną, mogłaby nam wytłómaczyć tylko ta okoliczność, że zbierały się na nią całe wieki historycznego istnienia Polski, że leżała już oddawna w poczuciu narodu. Jednem słowem: mesyanizm narodowy każe się domyślać, że średniowieczny supranatunaturalizm i złączone z nim pojęcia historyozoficzne przybrały u nas już od wieków formę narodową i skrystalizowały się w przekonaniu, że naród polski stoi pod szczególną opieką niebios i do wielkich przeznaczony jest celów. Chcąc więc odnaleźć początki polskiego mesyanizmu, musimy cofnąć się wstecz o kilka wieków i odszukać je w historyi narodu, a wtenczas dopiero będziemy mogli zdać sobie sprawę z idei tak często nazywanej, a tak mało zrozumianej, która charakterystyczne swe znamię wycisnęła całemu okresowi naszej klasycznej poezyi.

I.

Silna i głęboka wiara, którą odznaczały się średnie wieki, kazała ludom chrześciańskim szukać na każdym kroku widomie objawiającej się woli Bożej, domyślać się wpływu sił nadziemskich przy każdem każdem pospolitem i codziennem zdarzeniu, a objaśniać wszystko cudem, co zjawiało się niespodziewanie i nie dawało się łatwo wytłómaczyć. Supranaturalizm ten, nadający charakterystyczną cechę życiu i działalności jednostek, zastosowano teoretycznie także do historyi i stworzono w ten sposób fantastyczny system historyozoficzny, któryby dał się najlepiej określić nazwą kosmopolitycznego mesyanizmu. Podług pojęć średniowieczno-chrześciańskich nie stanowił żaden naród dla siebie odrębnej całości z własnym celem i zadaniem, lecz był tylko cząstką jednego wielkiego społeczeństwa chrześciańskiego, był niejako aktorem, biorącym udział w wielkim dramacie zbawienia, który zaczął się od straszenia człowieka, a miał się zakończyć zjawieniem się królestwa Bożego na ziemi.

Zapatrywanie to, złączone dość ściśle z nauką kościoła, przybyło do Polski równocześnie z chrześciaństwem i przyjęło się w kołach duchowieństwa i ludzi stojących pod jego wpływem. Ono nam tłómaczy, dlaczego bogobojni królowie polscy za pierwszy swój obowiązek uważali obronę i rozkrzewianie chrześciaństwa, dlaczego Bolesław Krzywousty tyle sił i krwi poświęcił w wojnach z Pomorzany? co skłoniło Warneńczyka do ostatniej wojny z Turkami, która tak smutny dla nas wzięła obrót, dlaczego Batory skłonił się do zawarcia pokoju z Iwanem Groźnym w czasie, gdy, mimo niechęci szlachty, mógł był śmiertelny cios zadać potędze moskiewskiej, dlaczego ostatecznie Jan III. wyruszył pod Wiedeń i całe swe panowanie wypełnił tureckiemi wojnami.

Póki cały świat zachodnio-europejski złączony był węzłem jednego kościoła i silną była wiara w sercach ludów; nie znalazł się nikt, ktoby zaprzeczył utartym zapatrywaniom, ktoby wątpił o prawdziwości celów, które podłożono historyi; gdy atoli cywilizacya na nowe wstąpiła tory, gdy został zburzony system scholastycznej filozofii nową nauką Kopernika, odkryciem Ameryki i wielką rewolucyą religijną, straciły historyozoficzne zapatrywania średniowieczne prawo istnienia w Europie, zachowały się zaś najdłużej tam, zkąd wyszły pierwsze promienie nowej wiedzy, w Polsce, ojczyźnie Kopernika. Wprawdzie dotarł także do nas prąd nowego ruchu umysłowego i nowa nauka wielu u nas zyskała stronników, ale ogół narodu mało tylko wiedział o świetle wiedzy kwitnącej na dalekim zachodzie i nie zmienił odziedziczonych po ojcach przekonań, bo zapatrywania, które wogóle w Europie miały charakter kosmopolityczny, uległy u nas pewnej zmianie i utożsamiły się skutkiem nadzwyczajnych stosunków naszego politycznego bytu i geograficznego położenia z poczuciem narodowem.

Stanowiąc najdalej na wschód posuniętą część katolicko-europejskiego społeczeństwa, dzieliła Polska zachodnią cywilizacyę od azyatyckiego barbarzyństwa, świat katolicki od wrogów kościoła, a powodując się przyjętemi w średnich wiekach zapatrywaniami, uważała za swój obowiązek walczyć z pogańskim i innowierczym żywiołem. Każda fala uderzającego na świat cywilizowany i katolicki barbarzyństwa musiała przejść przez Polskę i groziła jej zniszczeniem politycznem i wykorzenieniem religii. Skutkiem tego miała u nas każda wojna na zachodzie charakter nieznany reszcie Europy, wyjąwszy jedną Hiszpanię: była równocześnie sprawą polityczną i religijną, a okoliczność ta nadawała narodowi pozór rycerza Chrystusowego.

Stojąc przytem na pograniczu cywilizowanego świata, była Polska zarazem przedmurzem reszty Europy, strażą na wschód obróconą, za którą mogły spokojnie się rozwijać narody zachodu. Nie zaprzeczano tego wcale po za granicą Polski i jeszcze r. 1675. pisze *Gazeta francuzka* po zwycięztwie Jana III. nad Turkami pod Lwowem: »La protection divine y a paru plus que jamais sur la Pologne, et le ciel y a sensiblement fait voir, qu'il défendoit luy-mesme c e b o u l e v a r d d e l a c h r e s t i e n t é, qui seul la met a couvert des ravages de ses plus redontables ennemis« (22. października). Wiedziano o tem także bardzo dobrze u nas i poczytywano to sobie za niezwykłą zasługę.

To też pisze z dumą Samuel Twardowski:

»A lubo to powszechną, lub wszystkiej Europy
»Baczy rzecz, gdy za Polską, jako za okopy
»I mury chineńskiemi bezpiecznie koroną
»Leży w cieniu, ani jej złe wiatry dowioną;
»Gdzież strzeż Boże poganin tym wdarłszy się kluczem,
»Długoliby z Nohatem i dzikim Dobruczem
»Nie porównał Aleman; gdzieby go i wsparły
»Po tem Alpes i ciasne Pireny zawarły,
»Tuszy jednak etc.«

(Legacyi Punkt II.).

Wyjątkowe stanowisko na kresach chrześciaństwa i cywilizacyi i świadomość o przysłudze, którą naród oddawał Europie i Kościołowi, broniąc je od napaś i hord tatarskich, musiały w związku z rozpowszechnionemi podówczas zapatrywaniami na historyę wyrobić u nas przekonanie, że nie przypadkiem tylko stawiała Opatrzność Polskę na tak ważnem i niebezpiecznem miejscu, lecz że walki z niewiernymi były właściwym celem jej istnienia i zadaniem.

Naturalnie, że naród wystawiony zawsze na napaści nieprzyjaciół, a przytem dumny i nieugięty wobec swego rządu i patrzący zazdrosnem okiem na każde powiększenie władzy centralnej, nie mógł rozwijać się korzystnie i tak się uorganizować, aby stanął silnie na zewnątrz i nie potrzebował obawiać się żadnej katastrofy politycznej. Odczuwano to w Polsce bardzo silnie, widziano się co chwila nad brzegiem przepaści i przez całą historyę naszą przebija się zwłaszcza nuta zwątpienia, skargi na smutne położenie kraju, nawoływania do naprawy i groźby upadku. Wydawało się dziwnem, że naród skołatany i osłabiony wewnętrznym nierządem i nieustannemi walkami, nie upadał, lecz coraz nowe znajdował siły do odpierania napadów nieprzyjacielskich. Siła ta utajona we wnętrzu narodu budziła podziwienie u obeznanych ze smutnemi stosunkami i naprowadzała na myśl, że sam Bóg dbał o dobro Rzeczypospolitej i bronił ją od zagłady.

Pod wpływem wszystkich tych okoliczności, rozwinęła się u nas na podstawie ogólnych pojęć średniowiecznych idea narodowa, myśl, że naród polski przeznaczony od wieków na obronę i rozkrzewianie chrześciaństwa, że stał pod szczególną opieką niebios, był niejako narodem wybranym, drugim Izraelem. Nie została ona nigdy ujętą w system, nikt się nad nią nie zastanawiał i nikt nie wątpił o jej prawdziwości. Stara Polska wierzyła w nią z właściwą średnim wiekom naiwnością i jak nikt podówczas nie widział potrzeby dowodzić prawdy Boskiego objawienia, tak też nikt nie uważał za potrzebne dowodzić posłannictwa Polski.

Że myśl ta leżała rzeczywiście w poczuciu narodowem, dowodzą nadzwyczaj liczne wzmianki w literaturze, wyliczanie łask, które Bóg zsyłał na Polskę, porównywania polskiego narodu z izraelskim: a okoliczność, że nie znajdujemy jej nigdzie (wyjąwszy u Kochowskiego) jasno określonej i rozwiniętej, wskazuje na to, że należała do tych elementarnych ogólnych pojęć, leżących bezwiednie na dnie duszy ludzkiej, któremi powodujemy się najwięcej w życiu, a z których nie umiemy zdać sobie sprawy, ponieważ wyssaliśmy je niejako z piersi matki i zrośliśmy z niemi tak silnie, że stały się częścią naszego jestestwa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Al. Czechowski.

TEATR Hr. SKARBKA.

Uwagi ogólne z powodu wystawienia: »Flirtu«, »Nauczycielki«, »Gniazda rodzinnego«. — Reżyserya p. R. Żelazowskiego. — Jednoaktówki.

Instytucya teatru ma trochę podobieństwa do kobiety, gdyż niejednokrotnie kaprysi, o byle co się gniewa, zmienną jest w gustach i t. d. O kobiecie należy — wedle utartego aforyzmu — najmniej mówić, o teatrze zaś jaknajwięcej. Jest to różnica zewnętrzna w sposobie krytyki i omawiania rzeczy.

O teatrze hr. Skarbka albo się milczy, co jest dla teatru zabójczem, albo się go namiętnie krytykuje, co również odbić się na instytucyi artystycznej dodatnio nie może.

Nie mam najmniejszego powodu kruszyć kopij w obronie dyrekcyi, gdyż nie jestem jej kumem, ale uważam niejako za obowiązek publicystyczny oddać *»suum cuique«*, t. j. podnieść te objawy działalności obecnego przedsiębiorstwa, które na pochwałę zasługują.

Przedewszystkiem uderzyć musi tutaj sympatycznie każdego, kto miał przez lata całe sposobność patrzenia na obszarpane dekoracye »starej budy krakowskiej« — duża staranność i zapobiegliwość w t. z. *mise ên scene*; w dekoracyach i urządzeniach scenicznych jest gust, znawstwo, smak estetyczny.

Do chwili objęcia reżyserskich rządów przez Romana Żelazowskiego — brakło dramatowi i komedyi umiejętnego kierownictwa, t. j. pewnej siebie, wieloramiennej imprezy, która czuwając nad całością i szczegółami, jednocześnie poucza, jak być powinno.

Uczynićby można niekiedy zarzut p. Ż., że role są niezupełnie odpowiednio obsadzone, co jednak bynajmniej nie osłabia zasadniczych zalet utalentowanego reżysera.

»Flirt« grano we Lwowie lepiej, niż na scenie krakowskiej. Rola główna spoczywała i tu w rękach p. Natali Siennickiej, która pierwszym występem, przebojem, zdobyła sobie pierwszorzędne stanowisko w teatrze skarbkowskim.

»Nauczycielka« ś. p. Koziebrodzkiego, (o sztukach konkursowych pisaliśmy w swoim czasie wyczerpująco w »*Myśli*«) jest utworem dużej literackiej wartości, o wybitnych brakach scenicznych. Budowa sztuki jest bezwzględnie złą, akcya nie rozgrywa się, lecz dopowiada, z wyjątkiem chyba aktu III., (między hrabiną a nauczycielką), gdzie usterki techniki scenicznej jeszcze się najmniej uwydatniają.

»Nauczycielka« pisana językiem wykwintnym, właściwie nie rozwiązuje żadnej kwestyi, gdyż poszczególny możliwy fakt zaślubienia przez Dra Barskiego ukochanej, upadłej kobiety — niczego nie dowodzi i do żadnych ogólniejszych wniosków nie uprawnia.

Rysunek postaci w »Nauczycielce« jest trafny, a przeprowadzenie charakterów konsekwentne i psychologicznie wierne.

Rola Marty Czerw nie nadaje się do rodzaju talentu p. Żelazowskiej. Hrabiankę grała z uczuciem i prawdą p. Siemaszkowa, której talent niewątpliwy, znalazł na scenie lwowskiej właściwe i szerzej zakreślone pole rozwoju. —

W swoim czasie, pisząc o dramatach Sudermana, postawiłem »Koniec Sodomy« wyżej nad »Honor«. Dziś znajduję się w tem miłem położeniu, iż mogę przyznać »G n i a z d u r o d z i n n e m u« jeszcze poczesniejsze miejsce w szeregu prac scenicznych autora »Kumy-troski«.

»Heimat« — to obraz walki dwóch światów, starcia się dwóch systemów moralnych filisterskiej, tak zwanej, etyki porządnych ludzi z domieszką karności i dyscypliny wojskowej (pułkownik) i etyki niazawisłej, niepopularnej, bo opartej na poczuciu wszechsprawiedliwości i krzywdy, wyrządzanej bezbronnym. Pułkownik gotów przebaczyć córce oddanie się radcy pod warunkiem jednak, iż stanie się zadość formie obyczajowej, że Magdalena-artystka poślubi swego ex-kochanka, który giętkiemu karkowi zawdzięcza dziś wysokie stanowisko urzędowe i pragnie nazwiskiem swem okupić uwiedzenie Magdaleny w czasach »młodzieńczej lekkomyślności«. Taki pan radca przekonany jest o zupełnej ekspiacyi grzechu z chwilą, gdy stanie z Magdaleną przed ołtarzem. Dziecko-owoc ich pierwszej miłości — »na razie« chce usunąć, może później zdecyduje się, aby powróciło do nich. To będzie tylko pozorne oddalenie dziecka, gwoli opinii świata, której on — radca — narażać się wszak nie może.

Magdalena ma odmienne pojęcia i przekonania. Dziecko swe bardziej kocha niż opinię świata, tego pana więc, który się nie wstydził jej uwieść, a odpycha własne dziecię — wyrzuca za drzwi.

Sztuka kończy się śmiercią pułkownika, któremu córka, dla oswobodzenia się ze szponów radcy, oświadcza iż ten nie był jej jedynym kochankiem. Mniejsza zresztą, jak się rzecz kończy, boć autorowi chodziło o to, aby sobie widz w duszy epilog tej walki dośpiewał, a raczej ocenił, która z dwóch etyk jest cenniejszą.

Suderman ma pociąg do kontrastów, na tle których najjaskrawiej odtwarzają się społeczne i obyczajowe właściwości i sprzeczności różnych sfer, klas i obozów towarzyskich.

Oficyna i front w »Honorze«; spaczona, moralnie zdegenerowana burżuazya i rodzina Janików — w »Sodomie«, wreszcie kontrasty etyk w »Heimacie«. (Dramat ten grany był na scenie lwowskiej w przekładzie p. dr. Błeszyńskiego.)

Suderman pogłębił się jeszcze w ostatnim dramacie; w charaktery wlał większą siłę, stanowczość, jędrność, a nie ujął im ani żdźbła psychologicznej prawdy.

P. Żelazowski umiejętnie i konsekwentnie odegrał rolę pułkownika.

Mniej jednolitą w przeprowadzeniu charakteru Magdaleny była pani Żelazowska, acz miała momenty bardzo dobre.

PP. Chmieliński (pastor), Hierowski, oraz panie: Germanowa i Siemaszkowa stanęli na wysokości zadania. —

Mam pewną awersyę do jednoaktówek, z obowiązku jednak muszę wspomnieć o dwóch świeżo wystawionych. P. Z. Przybylski dał nam w swoich »Bzach kwitnących« małe *pendent* do »Pierwszego balu«. W bluetce tej jest dużo wdzięku poetyckiego i szczerego uczucia.

Mniej (nie chciałbym powiedzieć ostrzej) wdzięku posiada »Perełka« pani Nagody, której nie radzimy porzucać niwy beletrystycznej, uprawianej z sukcesem.

Szkoda dla autorki, że jednoaktówka pod tytułem «Perełka« graną była obok takiej perełki drogocennej, jaką jest »Mąż od biedy« niezapomnianego twórcy »Damazego«.

W początkach sezonu witałem starych a dzielnych znajomych z Krakowa — dziś ciesząc się z ich powodzeń na gruncie lwowskim, zwracam uwagę na nową młodziutką siłę, ,bardzo się dobrze zapowiadającą — na p. Wostrowskiego.

Józef Bornsztein.

WSPÓŁCZEŚNI.*)

Juliusz Lemaître śród współczesnych krytyków francuskich najwięcej ma wziętości. Lekki styl i humorystyczne zabarwienie, zwróciły nań uwagę od chwili, gdy artykuły swe drukowane w *Revue bleue* i *Journal des débats* ogłosił w oddzielnych wydaniach zatytułowanych: »Współcześni« i »Wrażenia z teatru«. Pierwsze tomy rozkupione szybko, dobiegły kilku, kilkunastu nawet wydań. Ostatnia zaś serya »Współczesnych«: piąta, w przeciągu dwóch tylko miesięcy, rozeszła się w pięciu wydaniach.

Gdybyśmy jednak rozgłos Lemaître'a wzięli za jego wartość istotną, omylilibyśmy się. Prawda, zalety stylu jego są nieposlednie, ale czy styl sam może stanowić wartość pisarza? Potrzeba do tego jeszcze idei. Sainte-Beuve i Hipolit Taine, opanowali ongi teren krytyki nie tylko dla stylu, lecz dlatego, że przyświecała im myśl przewodnia. Pierwszy walczył w imię zasad romantycznych, drugi rozdmuchiwał w płomień rzuconą i w łono historyi literatur iskrę pozytywizmu. Żaden nie był człowiekiem społecznym, lecz obaj wiedzieli, o co im chodzi.

U Lemaître'a nie ma ni zasad społecznych, ni literackich. Co do pierwszych, przypomnę tylko studyum p. Przewóskiego w »Ateneum« z r. 1889. »Wszelki radykalizm razi go, bo jest zbyt stanowczy, nie może go też darować Richepinowi, który w poezyach swych: »Bluźnierstwa«, cisnął rękawicę wiarom dogmatycznym i filozoficznym«. »Zapuściwszy się na grunt poglądów społeczno-filozoficznych, jak w sylwetce redaktora *Intransigeant'a* H. Rocheforta, zgubił się w przypuszczeniach i wnioskach z dziedziny, dla niego zupełnie obcej i zakończył swój szkic tem: Obawiam się, że swoimi zbyt licznemi, przypuszczalnemi objaśnieniami zaciemniłem, co miałem wyjaśnić. Jeżeli objaśnienia te wydzą się wam sprzecznemi — wybierajcie z nich te, które wam się podobają *(sic)*. Jeśli zaś macie skłonności filozoficzne, bierzcie wszystko razem, właśnie dlatego, (!) że są sprzeczności«. Wielki więc ów wnikacz w dusze, chwalący się, że w każdą potrafi wejść, w żaden sposób nie może pojąć radykała... Rzecz jasna, skoro kto wiarę w postęp uważa za naiwną, a o wychowaniu przez jezuitów mówi, że jest nie złe, bo rozwija pewne uczucia i właściwości umysłu, które w przeciwnym razie trudno... odczuć i zrozumieć...

Swe poglądy literackie tłumaczy metodą wrażeniową. Krytyk wraz »z całą swą wrażliwością«, ma stać się według niego osią środkową krytyki. Wrażenia, pochwycone przez drugich i umiejscowione w ich dziełach, chwyta on powtórnie, odbija je w swej duszy i potem wydaje sąd. Metoda ta jednak stara jak świat i naturalna jak świat: wszystko rzucamy na tło naszej myśli i tak jak ono się tam odbiło, pokazujemy je drugim. Jest to rzecz tak jasna, że chyba nie potrzeba o niej mówić. Jeżeli nawet kierujemy się jakąś doktryną, to i wtedy jeszcze nasze zdania są wytworami jaźni, bo uznawana przez nas zasada, przez sam fakt uznania staje się częścią naszego ja i myśl przepuszczana przez jej pryzmat, nie może nie przejść przez »całą naszą wrażliwość«. Impresyonizm Lemaîtrowski jest więc takim samem impresyonizmem jak impresyonizm Zoli, Hettnera i setki innych krytyków literackich. Tylko, że dotychczas nikt nie osłaniał nim swych gustów, Lemaître zaś myśląc, że zamiłowanie jego do mdłych powieści Georga Sanda, Heurieta i tym podobnych, jest rezultatem nie wychowania życiowego i literackiego, lecz jego specyalnej wrażliwości, ochrzcił je powyższą nazwą. W istocie smaki te wcale nie oryginalne.

Piąty tom »Współczesnych«, dość wiele dostarcza nam danych do urobienia sobie wyobrażenia o myślach literackich i społecznych naszego autora. Nie dość tego jednak, jak nigdzie możemy studyować tu ową korupcyę umysłowo-społeczną, której piętno wyciska kapitalizm na umysłach naszej epoki.

Składa się on z dwóch części: kilkunastu szkiców literackich i Biletów porannych, małych fejletonów humorystycznych osnutych przeważnie na tle wystawy z r. 1889. W pierwszej zapoznajemy się głównie z jego gustami literackimi, w drugiej znajdujemy garść okruchów politycznych.

Literatura francuska obecna jest jak las tropiczny. Jak dorosłe, dorastające i stare drzewa plączą się w lasach południowych z lianami, powojami i bujną roślinnością, tak tu rosną obok siebie rozmaite kierunki, piętrząc się na siebie, oplatając wzajemnie. Naturalizm Zoli, realizm szkoły Daudeta, psychologia i »dyletantyzm« Bourgeta, neo-realizm Mirbeau, okultyzm Thierry'ego, ezoteryzm, symbolizm i egotyzm, wszystko to mięsza się ze sobą, przelewa jedno w drugie, lub ściera w walce.

Lemaître poświęcił miejsce przedstawicielom większości tych kierunków. Mamy tu: Guy de Maupassanta, Pawła Margueritte'a, Marcelego Prévosta, Pawła Chalona, Andrzeja Theurieta, z okultystów: Gilberta Augustin-Thierryego, z psychologów: Edwarda Roda, z symbolistów Stefana Mallarmé. Jeden szkic omawia dzieło Stanleya: »W pomrokach Afryki«, inny sceptycyzm Renana. Pozostałe są raczej humoreskami niż szkicami.

O Guy de Maupassancie opowiada, że długo nie chciał czytać jego utworów, bo zachwalał je Flaubert... Później jednak rozsmakował się w nim. Jak zna duszę pisarzy, świadczy jego zdanie o zwrocie w kierunku literackim Maupassanta: »Opuścił powieść biograficzną (Bel-Ami), bo go więcej wabił dramat duszy«. Co za rzemieślnicze pojmowanie. Ci pisarze bawią się swymi tematami, nie biorą ich dlatego, że one wszystkimi porami wdzierają się w ich dusze, lecz dlatego, że im się więcej podobają. Stefana Mallarmé tym razem dość słusznie gani za niezrozumiałość wierszy. Mallarmé, jeden z wybitniejszych symbolistów, istotnie przeholowywa. Razem z zastępem młodszych pielęgnuje poezyę, która »może zupełnie nie mieć sensu gramatycznego, ale w której gra słów powinna przyjemnie łechtać ucho«. Wiersze więc jego są często niezrozumiałe i niedostępne dla najlepszych znawców języka.

Gilbert Augustin Thierry w powieści swej: »Biały warkocz« (la Tresse blonde) przeprowadza tezę dziedziczności, dorzucając do tego dawkę predestynacyi. Markiz Karol de Mauréac, walcząc w r. 1815 za króla, pali Annie Yvonnie Galo nogi aż do kości, za to, że ta nie chce mu zdradzić sygnału potrzebnego do uprowadzenia nocą statku Albatros, na którym są więzieni rojaliści. Anna Yvonna Galo umiera, w pięćdziesiąt lat po jej śmierci, syn Mauréaca poznaje się z jej wnuczką, tancerką Chérie Mignon, zakochuje się w niej i nie mogąc nakłonić do oddania się, a chcąc koniecznie ją posiąść, poślubia ją. Lecz pierwszej nocy poślubnej, postanawia się zemścić za to, że go zmusiła do małżeństwa, rzuca się na nią i usiłuje zadusić. Mignon wyrywa się napastnikowi z rąk, chwyta leżący na stole nóż i przebija go. Dotychczas mamy w synu Mauréaca dziedziczność, rozumianą naturalnie po okultystycznemu — teraz predestynacya: wszystko to było naprzód już zapisano w księdze przeznaczeń i do wszystkiego pobudzał »duch Eliasza mieszkający w Paryżu na ulicy Rousselet 24«. Dziwaczna historya, ale kto nie

*) Juliusz Lemaître: »Les Contemporains«. 5-a serya. Paryż, 1893.

wyznaje żadnych zasad literackich, powinien by być na nią wyrozumiałym. Lemaître jej jednak nie chwali, a tak samo, mimo to, że »wchodzi w dusze« poczytuje za wadliwą hyperanalizę wewnętrzną Roda. Gdybyśmy jednak »weszli w duszę« Roda, znaleźlibyśmy może w jej rozwoju, w jej otoczeniu, w jej poprzednich dziejach, usprawiedliwienie tego przeanalizowywania.

Na szczęście są dusze przystępne dla Lemaître'a. Czyje? filisterskie, jak w naszym tomie Theurieta. Nowele Theurieta i powieści bezbarwne, jak »Jama arabska«, zaczerpnięte są z życia małych burżuazów, trochę wyższych od rzemieślników, trochę niższych od urzędników. Nie ma w nich ni życia, ni siły, wszystkie jak ciepła woda z cukrem. Bohaterowie żenią się, bohaterki poślubiają małżonków i wiją gniazdka. Zresztą najlepiej go określę porównaniem z talentem Kosiakiewicza lub Juliusza Ninde. Trzeba być istotnie filistrem i wyróść w filisterstwie, aby znajdować przyjemność w takich utworach.

Na czaszkę więc Theurieta zlewa nasz krytyk strumień pochwał. To życie, gdzie pan prefekt chodzi w starym surducie i ma tylko dwie pary pantalonów, gdzie pani prefektowa robi pończoszkę, a dziatkom daje w święta wielkie podarki: dwa susy, jakiż urok posiada ono dla Lemaître'a! O święta oszczędności naszych matek, woła on (str. 15), ich dziwa domowych ekonomij i surowa ciasnota ogniska domowego! Wam to dzieci zawdzięczają trwałą świeżość wrażeń (?) i uczuciowość, która robi z nich artystów lub pisarzy (?!) Bezwątpienia zasługują na szacunek te poczciwe matki, które każdy grosz zbędny chowają dla dzieci, aby te kiedyś mogły odetchnąć świeższem powietrzem niż one, ale po pierwsze, te ekonomie tak bardzo są zawisłe od naszego stanu ekonomicznego, że raczej smutek zbiera, na myśl, że ktoś od ust sobie musi odejmować, po drugie, te ekonomie idą zwykle w parze z wcale nie pocieszającemi stosunkami rodzinnemi, po trzecie, w żaden sposób z dzieci nie wyrabiają one ani artystów, ani pisarzy. Jakżeż?

Na innych stronicach podnosi tło przyrody, na którem malowane są obrazy Theurieta. Ale tło to tak nikłe, że może podobać się chyba temu, kto nigdy nie spoczywał na łonie natury. Za mało powiedzieć, że coś odgrywa się na danem tle, trzeba to tło odtworzyć. Theuriet tego nie robi.

Jeśli weźmiemy do pomocy szkic o Georgu Sandzie i dwie niby-humoreski: »Święta Bożego Narodzenia« i »Prognostyki na rok 1887« zawarte w czwartym tomie »Spółczesnych«, wyrobimy sobie pogląd na ów »impresyonizm« Lemaître'a. Kto kocha się w Sandzie i Theuriecie, nie może odczuć wstrząśnień duszy Maupassanta, ani wybuchów smutku Lotiego, tak jak należałoby.

»Bilety poranne« i kilka innych szkiców, pochodzą z czasów Wielkiej wystawy. Na temat gwarnego wtedy nad miarę, upstrzonego wystawami i napływem tysięcy narodowości życia paryskiego dowcipkuje tu Lemaître. Gdyby dowcipy nie były przeplecione refleksyami, nie mówilibyśmy o nich, ale te refleksye właśnie są bardzo charakterystyczne. Wybieram ich wiązankę:

Najpierw o wielkiej rewulucyi: »Wracam z muzeum rewulucyjnego, kiedyś zapalałem się na myśl o rewolucyi z roku 1789. To było w dwudziestym roku mego życia. Teraz moje uczucia zmieniły się. Rzezimieszki średniej intelegencyi, którzy wykonywali terror budzą we mnie tylko wzgardę. Wątpię nawet o dobrodziejstwach rewolucyi i wolałbym być pozbawionym wszelkich rozkoszy wypływających z obywatelskiej i politycznej równości i żyć w najgorszej »nierówności«, niż żeby mieli byli uciąć głowę Maryi Antoninie i Andrzejowi Chénier«. W innem miejscu: »rewolucya była wielką maskaradą, tu solenną i tragiczną, tam karnawałową i zmysłową«.

O braterstwie narodów: Widzi teatr anamicki i tak rozumuje: to moi bracia. Ależ prędzej jestem bratem psu. Z psem mam wiele uczuć spólnych i początki myśli. Mój pies ma oczy inteligentne i dobre, a choć czasami szczeka na księżyc, to w jego skardze zawsze jest coś ludzkiego. Jest to przynajmniej smutne wycie. Anamickie nawet smutnem nie jest: nie można przypisać mu żadnego uczucia, jest wstrętnem i odrażającem«. Posłać takiego Francuza do kolonij, dobrym będzie bratem dla Arabów i Malajczyków.

Nienawiść narodowa w ogóle nie obcą jest dla autora »Spółczesnych«. Żyjemy, mówi, w okresie nienawiści narodowych, więc i ja nie lubię Niemców, nie lubię Anglików.

Teraz o demokracyi: Patrzy na wieżę Eiffla. »Naród rozumie, że ta wieża to najtreściwszy wyraz rozwoju ludzkiego. Ta wieża nieużyteczna, zrobiona jako użyteczna, jest symbolicznym znakiem najświeższego okresu cywilizacyjnego: epoki demokratycznej i przemysłowej«. Demokracya więc i przemysł są niby użyteczne, w rzeczywistości zaś bez wartości, bo (str. 207) »czyż nasza cywilizacya nie jest strasznym błędem ludzkości zachodniej« ?

Nie wyczerpuję skarbca tych pięknych myśli. »Wojna jest dobrą, bo w niej rozwija się energia ludzka, robotnik-to prawie zwierzę, przymus szkolny niema sensu, najlepiej być właścicielem ziemskim, »kupujmy więc ziemię«, weselmy się, bo ta wesołość od dwudziestu lat już chroni nas od rozruchów ulicznych (?) — oto logika przedstawiciela burżuazyi.

W. Bugiel.

LISTY Z KRAKOWA.

Dnia, 19 listopada.

Otrzymawszy zaszczytne wezwanie do współpracownictwa w »*Myśli*«, w charakterze korespondenta — pospieszam wywiązać się z zadania, co sądzę — wobec obfitości materyału — uda mi się choć w części. Tak jest — materyałem rozporządzam dostatnim, że wspomnę tylko o teatrze, o życiu umysłowem i literackiem naszego grodu, w końcu o kronice codziennej, tym razem niezwykle ciekawej i interesującej.

O teatrze starać się będę mówić zwięźle. A więc: Dyrekcya nowej sceny dotąd niedała powodu do najmniejszego zarzutu przeciw sobie — reżyserya, spoczywająca w umiejętnej dłoni znanego literata i aktora p. J. Kotarbińskiego, daje nam poznać prawdziwe piękno sztuki — repertoar dotychczas, choć stary, nawet przestarzały, ale dobrany umiejętnie, zaznajamia tych — którzy dzieł scenicznych nieznają ani z lektury — z wieloma utworami, istotnie wartościowemi. Wystawienie pierwszej premiery w ubiegły czwartek nie powiodło się zupełnie — to jest nie mówimy tu o grze artystów, tylko o samej sztuce (»Minowskim«), która jest znacznie słabszą niż »Dziwak« tegoż samego autora, może dlatego zapełniła zaledwie ćwierć sali widzów. Dowodzi to, jak krakowianie są konserwatywni; przywykli w starym teatrze chodzić na premiery w soboty i ani rusz ich od tego odzwyczaić. Personel artystyczny nowego teatru składają między innymi pp.: Kotarbiński, Kamiński, Zboiński, Przybołowicz, Zawadzki — a z pań Hoffmanowa, Leszczyńska (córka Rapackiego), Morska i Wyrwiczówna. Ensamble zawsze dobry, wystawa piękna — słowem teatr prawdziwie europejski; dają temu wyraz sami Krakowianie, mówiąc: »Taki teatr nie na Kraków, a repertoar, pożal się Boże, przedpotopowy *). Przykrym jest bądź co bądź fakt, że teatr często świeci pustkami.

W dalszym ciągu nowości, dyrekcya wystawić zamierza: »Samotnych« Hauptmana, »Zwalczonych« Ceyzingerówny i »Rękawiczkę« Bjernsona. Zaczną się więc dla teatromanów artystyczno-duchowe biesiady.

Z teatru na uniwersytet choć skok karkołomny, lecz dla mnie konieczny.

Jeden z luminarzy naszej *Almae Matris*, rektor Madeyski, objąwszy tekę ministra oświaty, zostawia opróżnione krzesło rektorskie, o które już konkurować zaczyna medycyna z królową nauk, zwaną filozofią. A więc prof. Pareński lub prof. Straszewski przywdzieje togę rektora. Słuszność jest po stronie pierwszego, gdyż ponowny wybór p. Madeyskiego został uskuteczniony tylko przez ówczesną chorobę kandydata z działu medycyny, prof. Halbana.

W łonie naszych kochanych stronnictw znowu zatargi i komeraże o... pomnik dla Matejki. Jeden dziennik daje inicyatywę projektu, drugi przeciwstawia mu myśl, kto wie, czy wykonalną, zakupienia domu św. pamięci Matejki i urządzenia zeń muzeum prac zmarłego mistrza. Słyszałem, że rodzina zmarłego jest w potrzebie i nie może czekać, a choćby i czekała — to domu niżej 60.000 złr. nie odda. A gdzie są teraz pieniądze na przebudowę ciemnej kamienicy na muzeum, a gdzie pieniądze na utrzymanie domu, przynajmniej dwóch ludzi (służby) i kustosza? Póki jest jeszcze prawdziwy zapał dla sprawy, można uzbierać kilkanaście tysięcy na skromny pomnik, ale dużych sum na muzeum w naszem społeczeństwie nie zbierze (?! *Red.*).

A propos Matejki. Przez śmierć genialnego malarza opróżnioną została posada dyrektora

*) Jesteśmy pełni uznania dla staranności reżyseryi i dyrekcyi krakowskiego teatru, nie podzielamy jednak zdania naszego Sz. Korespondenta, jakoby wystawianie utworów, otrzepywanych z kurzu bibliotecznego, choćby oryginalnych, zasługiwało na bezwzględną pochwałę. *(Przyp. Red).*

krakowskiej Szkoły Sztuk pięknych. Po mieście krąży pogłoska, że osobistości, najmniej mające ku temu kwalifikacyj, zamierzają ubiegać się o tę godność. Opinia zdrowa jednomyślnie wskazuje na Siemiradzkiego, który może godnie zastąpić Matejkę. Na wypadek, gdyby Siemiradzki nie chciał dla małego opuścić dużego Rzymu — pozostaje jeszcze Brandt.

Tego żąda kraj — naród!

A propos narodu. Poczytny autor »Motorów życia« zakłada nowe pismo »*Głos narodu*«, zapewniając w prospekcie, »że niebędzie ono podobnem do żadnego z istniejących pism«. Numer dziś opuścił prasę. Pismo to ma być taranem do zabicia »*Nowego Kuryera polskiego*«.

Z dziedziny wydawniczej mamy do zanotowania nowy tom nowel i szkiców znanego i cenionego już nowelisty Z. Niedźwieckiego, p. t. »U ogniska«. Ocena tego zbiorku znajdzie się niezawodnie w »*Myśli*«.

Z. P.

LISTKI POLITYCZNO-SPOŁECZNE.

Nowe ministeryum austryackie złożyło przed starym parlamentem deklaracyę, czyli program przyszłych rządów. Tym razem nowemu gabinetowi austryackiemu przypada w Europie ten zaszczyt, że jest nietylko najmłodszym co do bytu swego, ale i najmłodszy mąż stanu jest jego kierownikiem. Książe Windischgraetz bowiem liczy niespełna 42 lat. W innych państwach zdarzało się to już nieraz, w Austryi zaliczyć to należy do wydarzeń wyjątkowych.

W gabinecie zrekonstruowanym, mamy dwóch rodaków. Bardzo ważną tekę ministra oświecenia, objął pan Madeyski, spraw zaś specyalnie galicyjskich orendownikiem, został p. Apolinary Jaworski.

Nie przesądzając o przyszłości, pragniemy zwrócić uwagę na jedno, mianowicie, że nie podzielamy zapatrywań opozycyi, która z góry wyraża nieufność w dobre chęci prezesa ministrów, dlatego, że jest konserwatystą; ani zdania konserwatystów, którzy znowu zbyt są skłonni do optymizmu, dlatego właśnie, że konserwatysta objął ster rządów. Nie trzeba bowiem zapominać, że w polityce nie tyle osobiste usposobienia i skłonności rozstrzygają o taktyce, ile raczej ogólne stosunki i prądy. Pod ich naciskiem, niekiedy muszą być i konserwatyści pionierami postępu, zwłaszcza gdy idzie o dobro państwa i ludów. Wypadków podobnych widziały już dzieje dawne i współczesne mnóstwo, nie są więc i na przyszłość wykluczone.

W chwili, gdy to piszemy, słyszymy zakłopotanie polityków z profesyi, komu powierzone będzie przewodnictwo w Kole polskiem. Czy to nie zbyteczna troska? Polityka Koła nie tyle zależną jest od kierownika, ile raczej od zbiorowego rozumu stanu tegoż Koła. Ciało to bowiem jest organizmem parlamentarnym. Jeżeli w organizmie takim przeważa żywe i gorące poczucie dobra publicznego kraju, to wypłynie ono zawsze rozumem i energią, choćby kierownik był opieszały, a jeśli rzeczy traktują się obojętnie, to choćby prezes był wcielonym dyplomatą i posiadał energię Cromwella — nic nie zdziała.

Zimną, a czuwającą tylko nad tem Europę, ażeby gdziekolwiek nie zabłysnął jeden bagnet więcej, lub nie przybyło pół bateryi dział więcej w tem panstwie, niż w drugiem — słowem zesztywniałą takiem żurawiem czuwaniem Europę wstrząśnąć dziś i zainteresować choćby na chwilę, obudzić ogólne współczucie — na to, zdaje się trzeba wypadku nadzwyczajnego.

Nadzwyczajnym też musiał być człowiek, który zdołał dokazać tego — wprawdzie śmiercią swoją tylko — lecz to »tylko« daje właśnie do myślenia.

Wstrząsnienie to chwilowe, wywołała śmierć przedwczesna, bo zaledwie 36-letniego, byłego panującego księcia Bułgaryi, Aleksandra Battenberga, żmarłego jako generał-majora armii austryackiej w Gracu, pod nazwiskiem hrabiego Hartenau.

Krótki to był żywot ale piękny. Zaczął się koroną prawdziwie cierniową, doszedł do szczytu bohaterstwa, gdy młody książe jako wódz młodej Bułgaryi, poraził pod Śliwnicą podbechtanych przez Rosyę Serbów. Później, wygnany przez intrygantów białego cara, uchodzić musiał przed zamachem, lubo lud pozostał mu wierny. Wierności swej, pamięci i pietyzmu dla swego niegdyś panującego i wodza młodej armii, złożyli Bułgarowie dowody wymowne. Nam zaś przychodzi na myśl: Naród, który umie być tak wdzięczny tym, którzy dołożyli cegiełkę do jego odrodzenia, zasługuje na nowych bohaterów i mieć ich niewątpliwie będzie. — Bułgarowie wysłali na pogrzeb do Gracu kilka deputacyi: od parlamentu, od armii, rządu i dwóch adjutantów księcia Ferdynanda, dziś panującego. Oficerowie bułgarscy, zwiedzając pracownię śp. hr. Hartenau, całowali przedmioty na biurku nieboszczyka, a rozmawiajac z jego czteroletnim synkiem, ronili łzy starzy wojacy.

Podczas pogrzebu przemawiał nad zwłokami minister bułgarski Grekow. Wygłoszona w języku francuskim przemowa, uczyniła wrażenie potężne. Grekow zakończył ją słowy:

»Imię Twe i sława Twa nie zgasną nigdy w Bułgaryi, czyny twe przechodzić będą z pokolenia na pokolenie jako wspaniały przykład dla narodu bułgarskiego i dla armii bułgarskiej. Imieniem tego narodu i tej armii, którą tu reprezentujemy, żegnam Cię po raz ostatni.

Ciebie żegnam po raz ostatni, pierwszy książe Bułgaryi, który po wsze czasy zostaniesz najzacniejszym, największym obywatelem i największym, najpierwszym jej żołnierzem!«

To płynęło z serca ludzi, którzy okazywali wdzięczność za trudy podjęte dla ich ojczyzny. Ale hołdy złożyła temu bohaterowi cała Europa. Nie było dziennika, któryby mu nie poświęcił mniej więcej gorącego wspomnienia. Nad grobem tym, który zawarł może i niejeden wielki w przyszłości czyn, objawiło się generalne współczucie nie tylko ludów, ale i wielu panujących Europy. — Dlatego, powtarzamy, że grób pochłonął nie codzienną i niezwykłą osobistość.

Przyszłoroczna nasza Wystawa powszechna, wywołała kongestye w głowach polityków rossyjskich. Uderzenia te do głów, objawiły się zaburzeniami, te zaś zboczeniem umysłowem. Najwierniejszym znowu obrazem owych zjawisk patologicznych jest artykuł dziennika rossyjskiego, który po Katkowskich *Moskowskich Wiedomostiach*, objął spuściznę i obowiązek podżegania na narodowość polską rządów despotycznych cara, urągania z naszych dążności, oczerniania nas w oczach ludów Europy i nakoniec obowiązek wmawiania w zgnębionych, że gdyby nie łaska i wspaniałomyślność Rossyi urzędowej — toby o nas Bóg zapomniał.

Organem tak pięknie pełniącym rolę podżegacza, tak ściśle wchodzącym na tory Katkowa, są *Nowoje Wremia*. Autorowi, krótko mówiąc, idzie o to, ażeby obywatele Królestwa polskiego nie przyjmowali udziału w tej Wystawie. To główny cel, a reszta — jest starą piosenką, wyśpiewaną jesze ongi przez Aksakowych, Katkowych i inne znakomitości w nauce szczepienia nienawiści i wołania: „Polska musi być zdławioną“! Owa reszta nadto, uzasadniająca obowiązek nie brania udziału w Wystawie rodaków naszych — pozuje tonem mentorskim, udaje liberalizm, miłość dla nowoczesnego rozumu stanu — słowem wszystko, na co zdobyć się potrafi cynizm moskiewski, gdy mu się zdaje, że mu ktoś psuje interesa. Psują zaś interesa Rossyi ci wszyscy niepoprawni, którzy ośmielają się pracować, oświecać lud i niekiedy głosić nadzieje, że praca taka musi prowadzić do niepodległości. Cośmy tu określili jasno, to w artykule *Nowoje Wremia* brzmi tak: „Polacy ziemianie i przemysłowcy obawiają się kompromitacyi przez uczestniczenie w przedsięwzięciu, które tak niedwuznacznie ma na celu wskrzeszenie tendencyj zamierających“.

Autor ten wierzy, lub udaje, że wierzy, iż gada z duszy polskich ziemian i przemysłowców. Przyczepione zaś do tego powiedzenie o „tendencyach zamierających“ jest znanym dobrze głosem duszy moskiewskiej, która woła: „Precz z marzeniami“! zwąc marzeniem nasze życie

i prawa do życia i bytu politycznego. A rdzeń filozofii juchtowej w tem, ażeby zgnębionych przekonać, że z piekła dzisiejszego niema wyjścia.

KRONIKA.

LITERACKA.

*** Związek naukowo-literacki. Pod powyższą nazwą powstaje we Lwowie stowarzyszenie naukowo-literackie, którego zadaniem będzie rozbudzać wśród swoich członków zamiłowanie do literatury i nauki, drogą odczytów i pogadanek, oraz nawiązywać stosunki bliższe z naszą inteligencyą prowincyonalną. Statuty Związku, zatwierdziło już c. k. namiestnictwo.

Skład Wydziału stanowią pp.: Przewodniczący, dr. St. Kłobukowski; Zastępca, Fr. Rawita-Gawroński; Sekretarz, St. Komornicki; Skarbnik, J. Klemensiewicz; Wydziałowi: dr. Jan Pawlikowski, W. Szukiewicz, A. Bal, dr. Uhma, Rosinkiewicz i Leon Wasilewski. Cieszymy się bardzo z powstania tej instytucyi, która niewątpliwie przyczyni się do rozwoju i ożywienia naszego na pół obumarłego życia literackiego, a pośrednio i towarzyskiego.

*** Zwracamy szczególną uwagę naszych czytelników na rozpoczętą w numerze dzisiejszym znakomitą pracę Maryi Konopnickiej, w której tak utalentowana poetka i autorka w niezwykle trafny i subtelny sposób scharakteryzowała ducha utworów Lenartowicza, i, na podkładzie wielce ciekawych (a dotychczas nie ogłoszonych) wspomnień osobistych, odtworzyła swem barwnem piórem wizerunek Lirnika mazowieckiego.

Nowi prenumeratorzy (od N. Roku) otrzymają początek tejże pracy bezpłatnie.

*** Henryk Sienkiewicz udał się wraz z żoną do Włoch. W Rzymie zamierza autor »Bez dogmatu« zbierać materyały i rozpocząć nową powieść, podobno na tle pierwszych wieków chrześcianństwa, pt.: »Quo vadis?« Będzie to w takim razie rzecz w duchu »Pójdźmy za nim«.

*** T. T. Jeż, drukuje w *Głosie* ciekawą powieść na tle organizacyi »handlu dziewczętami« i wywozu ich do Turcyi, p. t. »Handelek«.

*** W listopadowem Ateneum znajdujemy początek studyum p. F. Hosicka: »O Słowackim w Rzymie, Sorrento i Neapolu«.

*** Dowiadujemy się, że dr. Biegeleisen ukończył już swą ciężką, a na wysokie uznanie zasługującą pracę około wyczerpującego, 4 tomowego wydawnictwa pism Słowackiego. Będzie to niewątpliwie edycya najpełniejsza i najźródłowsza ze wszystkich dotychczasowych. Krytyczne wydanie Słowackiego ukaże się nakładem ruchliwej Księgarni Polskiej, jeszcze przed świętami. Dla literatury naszej — piękna gwiazdka!

*** W kołach literackich lwowskich, kiełkuje na seryo myśl wydania w r. p. w czasie wystawy, publikacyi, w rodzaju almanachu literacko-dziennikarskiego. Subkomitet, wybrany ad hoc, energicznie wziął się do pracy, w której życzymy mu wytrwania. Podobno kwestya dużych kosztów wydawnictwa, jest już zasadniczo rozstrzygniętą.

*** Wielką nagrodę Goberta w Akademii paryskiej (10.000 fr.) otrzymał p. Vandal za dzieło: »Napoleon i Aleksander I.«.

*** Albert Wilczyński drukuje w *Kurj. Warsz.* powieść na tle galicyjskiem p. t. »Milutka żona«.

*** Księgarnia H. Altenberga podjęła ciekawe zeszytowe wydawnictwo głośnego dzieła angielskiego w przekładzie p. Zyg. Poznańskiego p. t.: »Wielka wojna w r. 189?«. Zwięzłym stylem opisują autorowie: wybitni oficerowie armii i marynarki angielskiej, momenta wielkiej wojny przyszłości, której ostatecznym rezultatem jest oswobodzenie Polski. Polskie tłumaczenie wyjdzie w 5 zeszytach (po 30 ct.).

*** W. M. Kozłowski wydał w Warszawie broszurę p. t. »Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie« (Bourget, Nietsche), jako odbitkę z Biblioteki warszawskiej.

*** Papież Leon XIII pracuje obecnie, jak z Rzymu donoszą, nad wielkiem dziełem, w którem opisuje nietylko swoje życie, lecz i osobiste swoje zapatrywania na kwestye polityczne etc. Dzieło to wszakże przeznaczone jest dla jedynego człowieka, a mianowicie dla następcy Leona XIII. Papież pracuje po kilka godzin dziennie, wspólnie ze swym sekretarzem, któremu dyktuje. W książce tej mieścić się będą rozmowy, jakie Papież prowadził z wysokiemi i najwyższemi osobami, o ile miały znaczenie polityczne. W tym celu Papież posiłkuje się osobistemi notatkami, które czynił zawsze niezwłocznie po takich rozmowach.

*** W ostatnim zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* znajdujemy bardzo ciekawy przyczynek do życia Słowackiego, a mianowicie do stosunku poety z panią Maryą Wodzińską. Dr. H. Biegeleisen, autor tej cennej pracy, posiłkował się szczegółami, których mu dostarczyła żyjąca jeszcze w Królestwie bohaterka romansu: pani Wodzińska.

*** *Kalendarz powszechny galicyjski, ilustrowany* na r. 1894. Nakładem i drukiem E. Winiarza we Lwowie.

Koniec starego roku stwarza literaturę okolicznościową — kalendarze.

Wśród wielu, jakie się tym razem pojawiły na gruncie lwowskim — do najlepszych, najbogatszych i najozdobniejszych zaliczyć bezsprzecznie wypada *Kalendarz powszechny galicyjski*, który już zaczyna wkraczać w lata jubileuszowe. Tak jest. Nie zamierzamy bynajmniej reklamować oficyny p. Winiarza — gdyż ona wogóle reklamy już nie potrzebuje — ale nasuwa się nam pod pióro uwaga, że *Kalendarzem* swym dowiódł p. W. nietylko dużej umiejętności typograficznej, ale także redaktorskiej.

Czterdziesty piąty *Kalendarz powszechny* na r. 1894, daje czytelnikowi prócz calendaryum i wyczerpujących w każdym kierunku informacyj — nadto bogatą i dobraną treść literacką. Poezyę reprezentują: śp. Lenartowicz, Ely, Platon Kostecki, Wł. Bełza, Zagórski, K. Koźmian, Or-ot, prozę: Sienkiewicz, Rawita, Kosiakiewicz i Meyet. Trudno sobie odmówić przyjemności zacytowania przynajmniej po strofce jednej z pięknego wiersza Wł. Bełzy pt.: »Na Rok Nowy«, w której poeta powiada:

»A ty, jak herold wołasz na narody:
»Patrzcie, co lud ten zdobył w pracy krwawej!«
Więc błogosławion bądź nam roku młody,
Roku Wystawy!«

Platon Kostecki znowu śpiewa:

»I witamy cię, Dziewięć dziesiąty i czwarty
Roku, wielka Racławic rocznico!
My boleśnej przeszłości zamkniem z tobą karty —
Nowe słońce nie zeszło, lecz zorze już świecą«.

ARTYSTYCZNA.

*** Teatr hr. Skarbka wystawił w ostatnich dniach słabą bardzo przeróbkę Ohnetowską p. t.: »Hrabina de Fontenay« (Ostatnia miłość) z p. Nowakowską w roli tytułowej.

Wielki talent i dystynkcyę artystki cenimy, i dlatego właśnie wydaje się nam za konieczne zwrócić uwagę p. Nowakowskiej, aby ról w rodzaju hrabiny de Fontenay, — jako nie leżących w jej zakresie i nie odpowiadających wiekowi artystki — absolutnie nie grywała.

Wkrótce teatr Skarbkowski wystawi: »Ręce czarodziejskie« Scribego, »Na wyżynie« Ganghofera, »Jakóba Warkę« D. Zglińskiego, »Urocze oczy« Z. Sarneckiego i »Pannę z posagiem« Blizińskiego.

*** Teatr krakowski wystawił z dużym nakładem pracy i kosztów, komedyę »Chwast« ś. p. Józefa Bliźińskiego. O sztuce tej pisaliśmy wówczas, gdy była graną na scenie lwowskiej. Jest to pierwsza rzeczywista premiera w nowym teatrze p. Pawlikowskiego. Dotychczas grane tam były jedynie utwory stare: Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Narzymskiego i Fredry.

*** Teatr Rozmaitości w Warszawie wystawił z dużym sukcesem sztukę konkursową Daniela Zglińskiego p. t. »Jakób Warka«. Tamże repertuar zapowiada: »Pannę z posagiem« Bliźińskiego i »Przyjaciela męża« Z. Przybylskiego.

*** »Bajki«, najnowsza komedya M. Bałuckiego, graną będzie w Rozmaitościach w przyszłym miesiącu.

*** Opera lwowska.

(l.) Dyrekcya teatru dopóty szukała dobrej polskiej śpiewaczki, dopóki jej nie znalazła w osobie panny Eugenii Strasnerówny, która w roli Santuzzy, porwała nas metalicznie brzmiącym sopranem i ognistym, może za ognistym temperamentem. P. Strasnerówna jest stanowczo wielkim materyałem na europejskiej miary artystkę, radzimy jej jednak, zanim poświęci się teatrowi, popracować jeszcze usilnie nad głosem.

Debiuty p. Malinowskiej. nie przekroczyły miary debiutów. P. M. nie powinna się jednak zniechęcać, wiedząc, iż każdy początek jest trudny. Głos pani Malinowskiej jest sympatyczny, brak mu jednak siły i ekspresyi.

P. Gabrielowi Górskiemu dawno już temu przepowiadaliśmy piękną przyszłość artystyczną, i cieszy nas fakt, że p. G. występami swymi (w Traviacie, Fauście, Cavalerii, Łucyi) nie zaprzeczył pokładanym w nim nadziejom. Jest to baryton silny, dźwięczny, trochę tylko niewyrobiony w tonach niskich.

P. Wł. Kowalski (bas) partyą Mefista w Fauście, dowiódł że przeszedł dobrą szkołę i, że może na każdej scenie być artystą więcej niż użytecznym.

*** Słynny baryton Maurel i znana we Lwowie śpiewaczka Biondelli, goszczą w operze warszawskiej.

*** Z powodu wystawienia »Pajaców« Leoncavalla w operze wiedeńskiej, pisze Hanslik: »Mascagni posiada talent bardzo oryginalny, Leoncavallo zaś jest lepszym muzykiem. »Medyceusze« nowa opera Leoncavalla, doznała w Medyolanie dużego sukcesu.

*** W Burgu grają obecnie sztuki Anzengrubera i »Złotą księgę« Schöntana.

*** Wiedeńska scena ludowa (Volkstheater) wystawiła piękną sztukę Fuldy, autora »Niewolników«, w stylu symbolistycznym pt.: »Talizman«.

*** Suderman osiedla się we Włoszech, gdzie zamierza napisać dwie sztuki, (jedną na tle biblijnem) dla Schauspielhausu i teatru Lessinga w Berlinie.

*** W berlińskim teatrze Lessinga, ujrzała światło kinkietów nowa sztuka G. Hauptmana, autora »Tkaczy« i »Samotnych« pt.: »Hanneles Tod« (Śmierć Joasi). Jest to poemat udramatyzowany — mysterium średniowieczne z wielkim talentem napisane.

*** »Modlitwa«, dużych rozmiarów tryptyk W. Szymanowskiego, twórcy »Kłótni huculów«, budzi wielkie zainteresowanie w warszawskich kołach artystycznych.

*** »Le rois« (Królów) Lemaitra, wystawił w Paryżu teatr Renaissances z Sarą Bernhard w roli głównej.

*** W Theatre de Varrietes ukazała się premiera W. Sardou: »*Madame sans gêne*«. Jest to jeden ze słabszych utworów autora »Starych kawalerów«.

*** Henryk Ibsen otrzymał order od króla szwedzkiego.

*** Mascagni wybiera się do Berlina, gdzie ujrzą światło kinkietów dwie nowe opery twórcy »Cavalerii«, mianowicie: »Ratclif« i »Romanao«.

*** Wiedeńska opera przygotowuje nowości, mianowicie: »Mirjam« Heubergera i »Pocałunek« Smetany.

*** Koncert Emila Sauera, znanego pianisty, celującego w wykonaniu rzeczy Chopin'owskich, wypadł we Lwowie świetnie.

*** Sztuka dra Iwana Franki, pt.: »Ukradene szczastie« nagrodzona na konkursie ruskim, doznała świetnego sukcesu na deskach bawiącego czasowo we Lwowie teatru ruskiego, który daje przedstawienia w sali w hotelu Georga, pod pretektoratem Ruskiej Besedy. »Skradzione szczęście« jest dramatem ludowym, pełnym życiowej obserwacyi i psychologicznej prawdy. Sztuce dra Franki, poświęcimy w następnym numerze *Myśli* osobne uwagi.

*** Dr. Roepell. Zmarł we Wrocławiu tajny radca dr. Roepell, zwyczajny profesor historyi przy uniwersytecie wrocławskim. Był on najstarszym profesorem historyi, liczył bowiem lat 85 wieku. Z licznych prac zmarłego ważniejsze są: »Monarchia Piastów od r. 850—1360« (1841), »Polska w połowie XVIII wieku« (1876), »Życie ks. Karola Radziwiłła« i inne. Prace profesora kontynuował później uczeń jego, prof. Caro we Wrocławiu. Uwagę na się zwrócił Roepel ogłoszeniem w 24-ym roku życia, rozprawy o hrabiach habsburskich, odznaczonej nagrodą przez uniwersytet w Halli, w której starał się udowodnić, że ród Habsburgów pierwotnie był zwykłym rodem szlacheckim. W późniejszym wieku wydał jeszcze ciekawe dzieło p. t. »Kwestya wschodnia w rozwoju historycznym«. Prof. Roepell urodził się w Gdańsku. W r. 1850 był członkiem parlamentu w Erfurcie, w latach 1861—1863 i 1868—1876 członkiem pruskiej izby deputowanych, a od r. 1877 członkiem izby panów, jako reprezentant uniwersytetu wrocławskiego. W zawodzie profesorskim Roepell pracował przez lat 48, z których przypadają lata 1835—1841 docentury prywatnej na Hallę, reszta zaś na Wrocław.

*** W Petersburgu zmarł znany kompozytor: Czaykowski.

C. k. uprzyw. galicyjski

Akcyjny Bank Hipoteczny

we Lwowie.

Obwieszczenie.

Trzecie nadzwyczajne Walne Zgromadzenie akcyonaryuszów c. k. uprzyw. gal akcyjnego Banku hipotecznego, które się odbyło we Lwowie dnia 10. Listopada b. r. uchwaliło **powiększyć kapitał akcyjny o 1 miljon zł. w. a., wydając 5.000 nowych akcyi po 200 zł. wartości nominalnej z kuponami, z których pierwszy płatny będzie 1. Stycznia 1895.**

W wykonaniu tej uchwały ofiarujemy z wyż wspomnianych 5.000 akcyi w myśl §. 14.*) statutów Banku hipotecznego posiadaczom starych akcyj:

2.500 nowych akcyj po zł. 200, a nadto dalszych
2.500 „ „ „ „ 300.

a to zł. 200 na pomnożenie kapitału akcyjnego, zaś zł. 100 na pomnożenie funduszu zapasowego.

Posiadaczom więc starych akcyj przysługiwać będzie prawo pierwszeństwa do wzięcia:

na każdych 6 sztuk starych akcyj jednej nowej akcyi po cenie zł. 200,
a nadto „ „ **6** „ „ „ **jednej** „ „ „ „ „ **300.**

Ułamków nie uwzględnia się.

Prawo poboru należy wykonać w terminie od 1. do 30 Grudnia 1893 roku włącznie, albowiem po upływie tego terminu prawo to zupełnie gaśnie.

Posiadacze starych akcyi, chcący korzystać z tego prawa, winni w terminie od 1. do 30. Grudnia b. r. złożyć swoje akcye w kasie naszego Zakładu lub w Filiach naszych w Czerniowcach, w Krakowie i w Tarnopolu, do odstemplowania i uiścić równocześnie wypadającą należytość i opłatę stemplową po 1 zł. 25 ct. od sztuki. Od wpłat uiszczonych przed nieprzekraczalnym terminem 30. Grudnia b. r. bonifikować będziemy 5% odsetki w stosunku rocznym.

Zawiadamiamy oraz pp. akcyonaryuszów, że przy sposobności wykonywania swego prawa poboru nowych akcyi mogą równocześnie do dawnych akcyi, za złożeniem talonu, otrzymać nowe arkusze kuponowe.

Lwów, 11. Listopada 1893.

C. k. uprzyw. galicyjski

Akcyjny Bank Hipoteczny.

---

*) §. 14. statutów. Przy każdem wydawaniu nowych akcyi założyciele Towarzystwa mają na lat 30, licząc od dnia potwierdzenia tych statutów, prawo pierwszeństwa do wzięcia *al pari* jednej połowy, zaś posiadacze wydanych już przedtem akcyi prawo pierwszeństwa do drugiej połowy wydać się mających akcyi, a mianowicie każdy akcyonaryusz do takiej ilości nowo emitowanych akcyi, jaka wynika w stosunku posiadanych przez niego akcyi do połowy nowo wydanych akcyi.

Termin i sposób, w jaki z tego prawa pierwszeństwa użytek zrobić można, oznacza Walne Zgromadzenie na wniosek Rady nadzorczej.

Akcye, którychby w ustanowionym i publicznie ogłoszonym terminie nie wzięli założyciele albo akcyonarjusze, mają być sprzedane na rachunek Towarzystwa, a uzyskana przytem zwyżka nad nominalną wartość akcyi, ma być wcieloną do funduszu rezerwowego.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: JÓZEF BORNSZTEIN. Z DRUKARNI E. … E LWOWIE.